Leszek Mądzik o pamięci, o ludziach, o tworzeniu

 Wdzięczność

 Zacznę od radosnego i zarazem podniosłego zwierzenia. Wiem, że w tym szczególnym momencie jestem wśród osób życzliwych. Czuję tę życzliwość, tak jak czułem ją przez 50 lat tutaj, na tym uniwersytecie. Kiedy realizuję spektakl, nierzadko moim największym problemem jest znalezienie dla niego tytułu. Nieraz spektakl był już gotowy, a ja ciągle miałem kłopot jak go nazwać, jak znaleźć lapidarny skrót, jak w słowie zawrzeć jego istotę. Wypełniony pamięcią minionych 50 lat, długo się zastanawiałem, jakim słowem oddać moją najsilniejszą emocję związaną z tym czasem, z miejscem, z tymi, którzy to miejsce zaludniali… Doszedłem do pewności, że jest tylko jedno trafne słowo: wdzięczność. Wdzięczność ludziom, losowi i czemuś, czego nie potrafię do końca określić - jakiejś sile, która mi dawała energię, dawała także chęć, a wręcz potrzebę podzielenia się tym, co noszę w sobie. Na tym uniwersytecie miałem jakby azyl, w trudnych czasach teatr mój istniał dzięki – raz jeszcze to powiem - wielkiej życzliwości wspaniałych ludzi, z których później wielu stało się i pozostaje do dzisiaj moimi przyjaciółmi. Pielęgnuję w sobie pamięć o tej życzliwości, ogromnie cenię te przyjaźnie.

 Niekiedy dopiero po latach okazuje się, że jakiś fakt miał szczególne znaczenie. Gdy sięgam pamięcią wstecz, odwracam się do przeszłości, niektóre zdarzenia widzę wyraźnie jakby na fotografii. Rok 1967 – moja pierwsza wystawa. Otwierał ją Jego Magnificencja Wincenty Granat – wielki pedagog, wielka Osoba, której wyniesienie do grona błogosławionych jest dzisiaj rozważane. Sam rektor otwiera debiutancką wystawę studenta - czyż nie jest to początek nowego rozdziału w moim życiu? Widzę to jako niezwykły znak związania z tym miejscem już nie tylko jako studenta, ale i artysty. Pierwsza wystawa – to wtedy odkryłem niezwykłą szansę spotkania się z drugą osobą, odkryłem, że można ją zdobyć, a przede wszystkim można się z nią podzielić. To dzielenie okazało się dla mnie również terapią - oto nie zostaję sam z tym co zrobiłem, czego dokonałem.

 Sięgam pamięcią jeszcze głębiej. Do pierwszego własnego kroku. Miałem już niejakie doświadczenie ucznia liceum plastycznego, już w języku obrazów się obracałem, konkretnie malarstwa, a jeszcze precyzyjniej tkactwa, które na jakiś czas stało się jedynym wyuczonym moim zawodem. I pamiętam - to był rok 1965, kończyłem wtedy liceum - do gobelinu, który stworzyłem, włączyłem zardzewiały, nieregularnie prowadzący się drut. Myślę, że to był pierwszy impuls dla mnie, że ważna jest nie tylko ta cudowność ciepła tkaniny, nie tylko to, że nas okrywa i chroni przed ziąbem w życiu. W tkaninie, także życiu pojawia się coś zardzewiałego, co jest znakiem cierpienia, lęku, strachu. Ta świadomość narastała we mnie, uobecniała się w moich już studenckich spektaklach. Coraz więcej w nich było tego, co wyzwala się w nas w momentach bardzo trudnych – takich, które już są na krańcu możliwości zrozumienia i przeżycia, gdy się traci kogoś bliskiego. Tym się żywiłem, to mogłem drążyć w swoim teatrze – bo tak sobie pozwoliłem go nazwać – i w tej przestrzeni KUL, który naprawdę dał mi komfort pracy w tamtych latach, bardzo trudnych. I tu wraca wątek życzliwości, wraca bardzo konkretnie, uosobowiona.

Profesor Stefan Sawicki był w moim życiu osobą szczególną. Najpierw był moim nauczycielem, przełożonym, a w chwili trudnej przeczuł, że trzeba mi pomóc. Pochłonięcie mnie przez teatr zakłóciło obowiązki studenta i stanąłem przed zagrożeniem odejścia z uczelni, po prostu skreślenia. Prorektor Sawicki powiedział wtedy - no to zatrudnijmy go jako dekoratora uniwersytetu, będzie mógł robić dalej teatr. Dał mi szansę pozostania, naprostowania ścieżek i uprawiania sztuki. Był potem towarzyszem drogi, przyjacielem. Teraz coś najbardziej osobistego, najbliższego. O tym można mówić tylko bardzo szczerze, stale z lękiem czy znajdzie się właściwe słowa. Spróbuję jakoś prosto wypowiedzieć nakaz serca. Zacznę od banalnej refleksji: nie je się samemu, nie tworzy się samemu, nie żyje się samemu, a jeżeli tak jest to też jest zagubienie, obawa… Można to nazwać samotnością. Wiem, że byłoby to moim udziałem, gdyby nie obecność w moim życiu Aliny. Dzięki żonie miałem i mam do dzisiaj niezwykły komfort czynienia tego, co było pasją, poszukiwaniem, niekiedy błądzeniem. Mogłem nie martwić się o swoje zdrowie, o sprawy domowe, bo wiedziałem, że ona jest. A jeszcze jej wielka troska w sytuacjach dla mnie trudnych. Nazywam to anielskim rozdziałem w moim życiu. Jest prawdziwym szczęściem, że on trwa do dzisiaj.

 Wiem, że upraszczam, ale to dla szybkiego porozumienia – nasze życie to dwie sfery: ducha i ciała. Wierzę, że duch jest obecny w tym spotkaniu, wierzę, że był we mnie zawsze. Dzięki niemu miałem poczucie dotykania sacrum, on pobudzał moją tęsknotę by gonić horyzont, który nam ucieka. Także potrzebę odpowiedzenia sobie na nurtujące pytania, żeby uchwycić równowagę, wypełnić brak, który w sobie nosimy. Wiemy, że czas płynie, czujemy, że kamień coraz szybciej spada, chcielibyśmy znaleźć potwierdzenie, że to zmierza ku sensowności, że to nie przypadek, że znaleźliśmy się tutaj. To mnie bardzo mobilizuje do kolejnej premiery. Chciałbym zdążyć jak najwięcej sobie samemu odpowiedzieć. Chciałbym, choć kiedyś prawdziwie wyznałem - gdybym znalazł odpowiedź, nie wiem czy miałbym potrzebę uprawiania teatru. Myślę, że pozbawiony bym został tego, co wydaje mi się w sztuce bardzo ważne: odważyć się szukać, iść dalej. Mój teatr jest nasiąknięty cierpieniem, kłopotem, bezradnością, lękiem, strachem,. To wszystko sprawiło, że narodziła się w nim ciemność, ale ona nie jest beznadzieją. Lech Majewski powiedział, że ciemność jest matką światła. I gdzieś w tym kierunku żłobi ten teatr. W kilku pierwszych spektaklach byłem zafascynowany kolorem, barwą. Nie bez znaczenia było, że uprawiałem i malarstwo, i tkactwo a także to, że byłem pod bardzo silnym wpływem ikony. Wtrącę w tym miejscu, że chyba ten wpływ spowodował, że nie dostałem się do Akademii Sztuk Pięknych, bowiem moje malarstwo było zbyt określone, nie było w nim miejsca na ujawnienie się różnych możliwości, jakie chyba wtedy miałem.

Za wielki dar losu uważam dostanie się na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Podjąłem studia, a wkrótce pojawił się teatr – najpierw jako prace scenograficzne dla studenckich zespołów, potem własny. Tutaj się narodził, tu dojrzewałem, jak już mówiłem, do ciemności. Dojrzewałem także – i to stało się prędzej, do milczenia. Pierwsza książka o Scenie Plastycznej, redagował ją Wojciech Chudy, miała znamienny tytuł: Teatr bezsłownej prawdy. Tytuł wynikał z przekonania, że w bezsłownym przekazie znajduję sposób dotarcia do głębokich pokładów swojej świadomości, swojej wyobraźni – po to, by móc się podzielić z innymi, a nawet – ryzykownie powiem - uwieść ich. Tu muszę na chwilę odejść od tematu. Otóż wydać się może, że teraz temu przekonaniu zaprzeczam - cały czas mówię. Dlatego powtórzę własne słowa – najpierw dojrzewałem do milczenia, potem do elokwencji: zacząłem mówić o swoim teatrze. Czyż mógłbym sobie tego odmówić w tak niezwykłej chwili… Ale wracam już do rozpoczętego wątku. W ciszy, w milczeniu, przez obraz próbowałem znaleźć drogę dotarcia do widza. Mam wrażenie, że w dużej mierze mi się to udało. To daje poczucie pewnego komfortu – oto znalazłem język, przestałem błądzić. Bo przecież nieraz długo się błądzi, nie można swojego miejsca. Ja je znalazłem, mam tę szansę, że dane mi jest tworzyć. I czuję wielką odpowiedzialność

  **Zacząłem tę część zwierzeń od dwoistości ducha i ciała. Mówiłem dotąd więcej o sferze duchowości, dopomina się swego udziału ciało. To ono, w ostatnim czasie, stało się najbardziej realnym wymiarem w moim życiu. Cieszę się, że mogę dzisiaj powiedzieć, że ciało w jakiś sposób zostało szczęśliwie doprowadzone do stanu użyteczności, możliwości funkcjonowania, dlatego jestem i mogę z państwem się podzielić swoimi jubileuszowymi refleksjami. Chciałem wyjątkowo ciepło wyjątkowo podziękować chirurgom prof. Markowi Szczepkowskiemu i prof. Grzegorzowi Wallnerowi za to, że mnie wyprowadzili z niebezpiecznej drogi na prostą, Tu raz jeszcze użyję słowa: wdzięczność. Starałem się utrzymać moją sytuację w tajemnicy ale już wiem, że nic się nie da ukryć, więc jakoś się obnażyłem, podzieliłem się tym z państwem.**

. Chciałem teraz podziękować tym, którzy ze mną przez lata długie byli, pracowali, tworzyli spektakle. Wiem jaką trudną rolę im powierzałem, zmuszając do milczenia, nie dając możliwości odzywania się, a czasami uprzedmiotowiając osoby. Wierzyłem przecież, że zdobyłem kredyt zaufania. To dawało mi nadzieję, że na to wszystko pójdą, że się zgodzą, będą uczestniczyć. Że mi zawierzyli. Właściwie o takim teatrze można tylko marzyć. o takim teatrze, ale samemu się go nie uczyli. Ta ich postawa, ich obecność przez lata, witalność którą mi tutaj oddawali w swojej młodości, jak to kiedyś powiedziałem, zabierałem im najlepsze lata dla teatru. Coś wszakże zyskiwali, jakąś trwałą wartość. Czułem, że mieli radość wspólnego bycia, że ważna jest dla nich obecność, bo przy każdej premierze tworzyła się szczególna, wyjątkowa rodzina.

Wrócę jeszcze na moment do ciemności, chciałbym jednym przekazem uzupełnić to, co wcześniej wyznałem. Otóż powiedziałem kiedyś, że noc nie jest dla mnie nocą złoczyńców. Noc, ciemności dają wielką szansę bycia samemu ze sobą, ale także sam na sam z drugim, znalezienia się w spotkaniu, którego bardzo pragniemy. A to dlatego, że wszystko, co obok staje się niepotrzebne, wytrącone, jakby niezauważone. Moją teatralna ciemność sceny jest blejtramem, na którym maluję światłem. Kierując światłem, prowadzę widza tam gdzie chcę żeby doszedł, żeby dostrzegł właśnie to, co chcę pokazać. Zatrzymuję go na granicy, której przekroczenie zniszczyło by teatr, obnażyło, pokazało jego nagość. Bardzo pilnuję tego nieprzekroczenia. Wiem, że jest tylko krótki moment, w którym spełniają się moje nadzieje - widz zobaczy coś nie do końca pokazanego i dalej swoją wyobraźnią będzie ten spektakl. ten teatr tworzył. I to jest dla mnie cudowność, którą – powiem dosłownie – pragnę widza uwieść. Tak oto przyznałem się do grzechu pychy. A to znaczy, że pora kończyć to wyznanie.

 Leszek Mądzik

Tekst powstał na kanwie wystąpienia podczas jubileuszu Sceny Plastycznej KUL, 20 września 2020 roku, w Lublinie. Opublikowany w SCENIE 2020 nr 3-4